

KRONIKI CZARNOBOGA

WYZNAWCY CZARNOBOGA

RADOSŁAW SAMLIK

Spis treści

Sny3

Sny

Bożydar Rakowski stał na skraju gęstego boru, którego czarne, potężne pnie ginęły w gęstej mgle. Korony wystawały ponad jej kłęby, sprawiając wrażenie potężnych krzaków wyrastających z grubego dywanu chmur. Powietrze było ciężkie, pachniało ziemią i mokrymi, butwiejącymi liśćmi. Każdy jego krok wydawał głuchy, dudniący dźwięk, choć pod nogami leżał miękki mech. Rozejrzał się dookoła, podejrzewając, że jakiś dowcipniś uderza w wojenny bęben gdy tylko stawiał stopę, ale okolica wydawała się martwa. Nie słyszał nawet ptaków. Zmarszczył brwi na myśl o wojennym bębnie – skąd się wzięła? Normalnie przyszyłyby mu do głowy bongosy albo zwykły garnek. Potrząsnął głową, bezskutecznie próbując przegnać odczucie przymusu, by zagłębić się w mglistą puszcę. Wokół rozbrzmiewały niskie, nieludzkie szepty – melodia, której źródło zdawało się zmieniać miejsce w rytm pulsującego w powietrzu absurdu odgłosu jego kroków..

W oddali, stłumione przez mleczne opary, błysnęło czerwone światło. Nieświadomie ruszył w jego stronę, jakby ktoś nadludzko silny ciągnął go za niewidzialny sznur. Gdy dotarł na polanę, przed jego oczami rozciągnęła się scena, która wyryła się w jego umyśle jak najbardziej przerażający obraz Beksińskiego albo Hieronima Boscha.

Na środku polany, pośród potrzaskanych kamieni i obrośniętych mchem posągów, stała postać. Wysoka i potężnie zbudowana, o twarzy ukrytej w cieniu kaptura płaszcz, który zdawał się być utkany z żywej ciemności. Jej ramiona rozpościerały się jak gałęzie umarłego drzewa, a dłonie – poznaczone czarnymi runami tatuaży – trzymały długi miecz zakończony rękojęcią w kształcie smoczego łba.

U jego stóp kołysały się postacie, półnagie, oblepione błotem i krwią. Ich ciała były powykręcane w groteskowym tańcu, rytm ich ruchów wyznaczało bicie niewidzialnych bębnów wojennych – dźwięk prymitywny, dziki, wbijający się w duszę. Śpiewali coś, słowa wydobywały się z ich ust na podobieństwo wycia wichru, który hulał po polu świeżo zakończonej, krwawej bitwy. Język nieznan i przerażający, a jednak dziwnie znajomy, jakby wypalony w pamięci Bożydara przez pokolenia jego przodków.

Nie tych genetycznych, lecz duchowych. Łowczych.

Zakapturzona postać podeszła do ołtarza – pękniętego, kamiennego bloku poplamionego zaschniętą juchą. Leżał tam młody mężczyzna, skrępowany sznurami. Bożydar nie mógł oderwać wzroku, choć serce krzyczało, by uciekać. Obcy odrzucił w tył płaszcz ciemności, biorąc zamach długim mieczem. Bez najmniejszego wysiłku odciął głowę przerażonej ofiary. Krew wytrysnęła jak żywy strumień, spływając na pokryty runami ołtarz. Spod falującego kaptura błysnęły złowrogo gorejące oczy, których spojrzenie spoczęło na Rakowskim. Klinga miecza ponownie uniosła się i wycelowała w jego kierunku. Po zboczach spływała krew, pokrywając lepką czerwienią wytatuowaną dłoń, która trzymała rękojeść. Bożydar mógłby przysiąc, że osadzony na rękojeści pysk smoka wysunął rozwidlony język, zlizując posokę. Obcy wykonał kilka szybkich kroków, aż sztych oparł się o mostek Rakowskiego, bardziej parząc, niż kłując.

– Kim jesteś? – zdołał wykrztusić Bożydar.

– Najwierniejszym sługą – zimny głos rezonował w jego umyśle z przytłaczającą siłą. – A pan mój, Czarnobóg, obdarza swe służby mocami przerastającymi twe pojmowanie, psie Peruna!

Wtedy to poczuł – zimny, przeszywający ból w karku i wrażenie, jakby to jego bezgłowe zwłoki leżały na ołtarzu. Z ziemi za budzącym grozę zakapturzonym mężczyzną zaczęły wyrastać czarne węże – wijące się, śmiercionośne kształty z czarnego dymu oplatały wznoszących modły ludzi, pożerając ich żywcem. Wrzaski bólu i przerażenia wydawały się Bożydarowi dziwnie stłumione.

Niebo gwałtownie pociemniało. Czarna pustka zalała horyzont jak smoła, rozlewając się z rozdarcia w rzeczywistości. Powietrze zgęstniało, stało się ciężkie, jakby każda jego cząstka niosła w sobie echo miliardów szeptów potępionych dusz. Bożydar wciągnął gwałtownie oddech i natychmiast pożałował – poczuł zapach palonego mięsa, przegniłej ziemi i starej krwi, zapach śmierci, który oblepiał mu gardło jak śluz.

Nie był pewien, czy jeszcze oddycha. Nie był pewien, czy wciąż żyje. Płuca miał pełne czegoś obrzydliwego.

Coś zaszumiało w ciemności, a on wyczuł ruch. Nieprzyjemne drżenie wypełniło powietrze, jakby skóra świata miała zaraz pęknąć pod naporem czegoś, co nie powinno się tu znaleźć.

Potem to coś zaczęło się wyłaniać.

Z ciemności wykwitły kształty – groteskowe, jakby wyrwane z koszmaru kogoś kompletnie szalonego. Olbrzymia, cienista sylwetka sunęła ku niemu, jej kontury zmieniały się, pulsowały, jakby rzeczywistość nie mogła się zdecydować, co właściwie tworzy. Macki dymu wiły się wokół postaci, ślizgając po ziemi niczym czarne węże. Gdy dotykały pradawnych dębów, drzewa eksplodowały w deszczu czarnych drzazg.

Głowa demona poruszyła się.

Bożydar zadrżał, choć nie czuł zimna. Nie potrafił się ruszyć, nawet odwrócić wzroku.

Czarne szpony przecięły powietrze, a olbrzymia twarz ostatecznie uformowała się z cienia. To nie była twarz – to była pustka. Dwa gorejące punkty, niby oczy, ziały w niej piekielnym ogniem. W tym spojrzeniu coś się gotowało, coś przerażająco starego. Bożydar wiedział, że Czarnobóg nie patrzy na niego tak po prostu – on go pochłaniał, kawałek po kawałku, jak gdyby istnienie Łowczego było tylko kolejnym światłem do zgaszenia. Płomieniem dopalającej się zapalki.

Zamarło mu serce. A może po prostu już od kilku chwil nie biło?

Z tej pustki dobył się głos. Nie brzmiał jak ludzki dźwięk – raczej jak odległe dudnienie, coś pomiędzy echem wrzasków kogoś pogrzebanego żywcem w kamiennym grobowcu a złowrogim grzmotem przed burzą.

– Ponownie odwiedzasz przeszłość, dziecko Peruna?

Każde słowo rezonowało w jego ciele, jakby kości nagle stały się pustymi puszczakami, w które wdmuchnięto truciznę. Poczuł w sobie drżenie szarpące każdy nerw.

Czarnobóg wyciągnął szpony.

– Nadchodzi czas zapłaty.

Nie był to atak, lecz coś o wiele gorszego – dotknięcie. Tylko lekki gest, ledwie muśnięcie, a Bożydar poczuł, jak jego własna skóra zaczyna się roztopiać przy wtórze palącego bólu.

Rzucił się w tył, ale nie miał gdzie uciekać – przestrzeń wokół niego nie istniała. Wszystko, co nie było Czarnobogiem, zapadło się w czerń. A może zostało wchłonięte przez to bóstwo? Tak czy owak droga ucieczki nie istniała. Wrzasnął w straszliwym cierpieniu.

– Krew na ołtarzu obudziła moc.

Coś szarpnęło go od środka. Zimno przeszło jego kręgosłup i kark, rozlało w głębi czaszki, paląc myśli, spopielając wspomnienia.

– Jeden z moich najwyższych kapłanów został uwolniony na twój świat, mały Łowczy.

Coś pełzało mu za oczami. Poczuł przyprawiający o mdłości ruch.

Krzyknął, ale w mrocznej pustce głos się nie rozchodził.

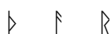
– Przyjdź do mnie, Bożydarze. Dołącz do mnie. Ten świat jest skazany na zagładę.

Zawirował, jakby ciśnięty potężnym podmuchem wiatru.

Prosto w otchłań.

Otchłań, która miała oczy.

I czekała.



Bożydar zerwał się gwałtownie, jakby ktoś wyrwał go ze szponów śmierci w ostatniej chwili. Pot zalewał mu twarz, oddech rwał się spazmatycznie.

Głowa mu dudniła. Wciąż słyszał te słowa.

Przyjdź do mnie, Bożydarze.

Otworzył usta, ale jedyne, co zdołał powiedzieć, to:

– Kurwa.

Uspokoił oddech i sięgnął po szklankę z wodą. Wypił duszkiem połowę i usiadł na łóżku. Cholerne koszmary.

Podrapał swędzącą pierś i zamarł. Spojrzał w dół i dojrzał zaczerwienienie w miejscu, gdzie zboczony krwią miecz oprawcy ukłuł go w mostek.

– Bez przesady, podkomisarzu Rakowski! – zaśmiał się sam do siebie. – Właśnie się podrapałeś, geniuszu, stąd ten ślad. Obciąłbyś w końcu te szpony, bo kiedyś sobie wydrapiesz oko.

Sięgnął do szafki nocnej i wyjął cążki. Starannie obciął paznokcie, nie zważając na fakt, że były w miarę krótkie i całkiem zadbane.

Tak było po prostu lepiej niż wierzyć, że jakaś zjawą ze snu zostawiła mu na piersi ślad po sztychu miecza. Wyłączył szumiącą cicho klimatyzację. Na zewnątrz już zmierzchało, a to cholerstwo podbijało rachunki za prąd zdecydowanie zbyt wysoko. Pensja podkomisarza polskiej Policji nie była aż tak dobra, jak wyobrażali sobie ludzie spoza służby.

Zgodnie z ustalonym rytmem swojego życia przespał cały dzień. Poczłapał do łazienki, ochlapał twarz wodą i zerknął w lustro. Z lekko przybrudzonej powierzchni spojrzała na niego para przekrwionych oczu o różowych tęczę-

kach osadzonych w chudej twarzy. Spróbował przyglądać niesfornej strzechę białych jak mleko włosów, ale jak zwykle wydawały się mieć własne plany na wygląd, które odbiegały od szablonowej fryzury korpusu młodszych oficerów. Westchnął ciężko i przepłukał usta miętowym płynem, pozbywając się z nich smaku nocnego (choć w jego przypadku raczej dziennego) trampka. Wyszczerezył zęby, szukając śladów nalotu. Długie siekacze, które w komplecie z jego bielactwem i różowymi oczami złożyły się na złośliwy przydomek Wściekły Królik, błysnęły nieskazitelną bielą.

No dobra, fizycznym przymiotom zawdzięczał tylko drugą część prezwiśka. Wściekły mogło mieć coś wspólnego z jego sposobem bycia i szczerością, którą inni nazywali złośliwością.

Żałował poranną, to znaczy wieczorną potrzebę i wszedł pod prysznic, schylając głowę, żeby nie przywalić o górną krawędź kabiny. W pobliskim sklepie z armaturą nieźle się nagłowkowali, zanim znaleźli odpowiednio wysokąabinę prysznicową. Dzięki temu cała łazienka nie pływała w wodzie, która odbijała się od jego czaszki kiedy mył włosy.

Zimna woda pobudziła go do życia. Wylał się do sucha i przyjrzał się krytycznym okiem przygotowanemu na dzisiaj ubraniu do pracy. Nienawidził prasować, więc uznał, że na nocnej zmianie nikt nie zwróci uwagi na wymięty t-shirt z koncertu Black Sabbath. Poza tym nie miał partnera, który mógłby się poskarżyć (mówiąc wprost, nikt nie chciał z nim pracować). Szczęśliwie inspektor Kleczkowski pracował w ciągu dnia. Co z oczu, to z serca, chociaż Rakowski obstawiał, że jego przełożony miał zamiast serca kawałek zardzewiałego żelastwa.

Włożył na szyję swój nieodłączny wisior ze srebrnym, długim na dziesięć centymetrów krzyżykiem. Nie był praktykującym katolikiem, ale czuł się bezpieczniej z tym atrybutem wiary przy sobie.

Zwłaszcza, że spiłował pionową belkę w ostry szpic.

Przeszedł do salonu połączonego z kuchnią i podciągnął rolety, które szczelnie chroniły mieszkanie przed światłem. Na zewnątrz słońce już zaszło, było więc dla niego bezpiecznie opuścić schronienie.

Nie był wampirem, wbrew żartom, które krążyły na posterunku.

Był albinosem z chroniczną wrażliwością na słońce. Wystarczała krótka ekspozycja, by jego skóra pokrywała się bolesną, swędzącą wysypką. Prowadził nocny tryb życia, przejmując najbardziej nie lubiane zmiany w policji. Nie przeszkadzało mu to. Mógł w ten sposób trzymać w ukryciu swój

sekret widzenia w ciemnościach. Dzięki temu jego wyniki w łapaniu działających nocą przestępców były najwyższe w województwie.

Przegryzł na śniadanie (jak nazywał wieczorny posiłek) kilka zimnych kanapek, które przygotował przed pójściem spać i poparzył sobie usta gorącą kawą. Zerknął na poobijaną kopertę starego radzieckiego zegarka marki Czajka, prezent od swojego świętej pamięci dziadka.

– O w dupę jeża! – Zmitrężył na jedzeniu zbyt dużo czasu.

Zerwał się od stołu i zostawił brudne naczynia tak, jak stały. Szarpnął za drzwiczki szafki pancерnej, upewniając się, że służbowa broń spoczywa bezpiecznie w zamknięciu. Dziś na pewno nie będzie jej potrzebował. Planował zebrać informacje w szpitalu na Borowskiej od nocnej zmiany lekarzy. Rozgryzał sprawę tajemniczych śmierci niemowląt na porodówce. Później zamierzał odwiedzić kilku swoich informatorów.

Zamknął drzwi na klucz i podszedł do windy. Wcisnął przycisk i czekał przez dłuższą chwilę, ale nic się nie działo.

– Wspaniale – zgrzytnął zębami.

Drzwi mieszkania sąsiadującego z jego własnym otworzyły się.

– Jeszcze wspanialej – mruknął pod nosem, przyspieszając kroku.

– Dzień dobry, Króliczku! – rozległ się wesoły kobiecy głos.

Zatrzymał się z ręką na poręczy schodów. A było tak blisko.

– Pani Patrycj, ile razy mówiłem, że albo Bożydar, albo Wściekły Królik? – burknął wiedząc, że równie dobrze mógłby próbować przekonać lwa do wegetarianizmu.

Sześćdziesięcioletnia bibliotekarka uśmiechnęła się szeroko.

– Dla mnie zawsze będziesz Króliczkiem, mój drogi.

– Jeśli usłyszysz to ktoś z mojego posterunku...

– To twój obraz gburowatego tetrika legnie w gruzach? – zakpiła Maciejewska. – Dowiedzą się, że wnosisz sąsiadce zakupy, jak winda się zatnie? Albo, że ta blizna na twoich chudych żebrach nie jest po operacji usunięcia serca, tylko poharatałeś się ściągając z drzewa Mruczka Goździkowej?

Bożydar zaburczał coś pod nosem w odpowiedzi.

– Nie krzyw się, bo ci tak zostanie, kochaniutki! – zbeształa go. – Mówię samą prawdę.

– Nie krzywię się, to mój normalny wyraz twarzy! – oburzył się podkomisarz. – Muszę lecieć do pracy. Winda znowu się zacięła, nawiasem mówiąc.

– Dobry z ciebie chłopak, Bożydar. Tylko trzeba ci o tym od czasu do czasu przypomnieć.

– Ehh.... – zgrzytnął zębami Rakowski i zaczął zbiegać w dół.

Zeskakiwał po dwa schodki na raz, byle szybciej wyjść poza zasięg głosu. Co było wyzwaniem, gdyż słuch miał taki, że niemal słyszał, jak rośnie trawa. To było coś nowego. Coś, co pojawiło się razem z tymi przekłętymi koszmarami o składaniu ofiar dla Czarnoboga. Całe szczęście, że po kilku dniach nieopisanej kakofonii nauczył się nad tym panować, ponieważ kiedy był w złym humorze, potrafił być naprawdę wredny. Wszystkie rzucane szeptem uwagi na swój temat oraz wszelkie inne brednie karmionego fake newsami tłumu w taki właśnie nastrój go wprowadzały. Lepiej dla nich, że potrafił już kontrolować ten przedziwny słuch.

Minął trójkę nastolatków na półpiętrze i owionął go znajomy zapach.

– Patrzcie, Dracula z dziesiątego piętra – doleciał go drwiący szept. – Jaki kraj taki wampir, jak mówi mój ojciec.

Zatrzymał się gwałtownie i westchnął ciężko. Wszedł z powrotem kilka stopni i spojrzał na uśmiechających się zadziornie chłopaków w zbyt obszernych ubraniach.

– Malinowski, tak? – Spojrzał na tego, który zdawał się wieść prym. – Te spodnie to chyba po tym twoim elokwentnym ojcu, bo wydają się i za szerokie, i zbyt długie na ciebie, a on z tego co kojarzę jest upasiony jak wieprz na świniobicie.

Nastolatek poczerwieniał gniewnie i nabrał powietrza w płuca, ale Rakowski tylko uniósł dłoń, błyskając policyjną odznaką.

– Wyczuwam znajomy zapach, chłopaki. Wywrócić kieszenie na lewą stronę, wszyscy.

Twarze całej trójki nabrały nagle ziemistego koloru.

– No, dalej!

– Nie ma pan prawa... – zaczął młody Malinowski, ale Bożydar pacnął go otwartą dłonią w tył głowy.

– Akurat mam, gówniarzu. Uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa.

Chłopak próbował ukryć mały woreczek strunowy, który miał w przepastnej kieszeni, ale podkomisarz chwycił go za nadgarstek i zmusił do otwarcia dłoni.

– No i proszę! – uśmiechnął się szeroko, przyglądając się zapakowanemu szczelnie gramowi suszu konopnego. – Jeśli nie macie na to recepty, to będę was musiał aresztować.

Odwaga opuściła całą trójkę w tej samej chwili. Błagali go na przemian, nie wykazując ani odrobiny chojractwa sprzed kilku chwil.

– Panie Rakowski, to na własny użytek... – Malinowski złożył ręce jak do modlitwy. – Bądź pan człowiekiem, tata mnie zabije jak się dowie...

– Czyli wiesz, że nie nazywam się Dracula? – udał zdziwienie podkomisarz.

– Przepraszamy, to było głupie – przynajmniej jeden z chłopaków miał na tyle rozumu, żeby użyć właściwych słów. – To był tylko żart...

Rakowski pomachał im przed oczami woreczkiem z marihuaną.

– Zabieram to do zniszczenia. Macie szczęście, że mi się spieszy! Jeśli was znowu przyłapię z gandzią, to porozmawiamy na posterunku, rozumiemy się?

Pokiwali gorliwie głowami.

– Przekaż ojcu, że skoro uzależnia jakość wampira od kraju pochodzenia, to w Polsce ich nie ma. U nas są wąpierz, jasne?

Popatrzyli na niego kompletnie bez zrozumienia, jakby przemówił w obcym języku.

Pokręcił z politowaniem głową, schował marihuanę do kieszeni na udzie i ruszył biegiem wzdłuż schodów. Gdy był dwa piętra niżej, wyteżył słuch.

– Jakim cudem ten gość to wywęszył? – dobiegł go pełen niedowierzania szept. – Było szczelnie zamknięte, tylko pies mógłby to wyczuć! I co to niby jest wąpierz? Ojciec ma rację, to cholerny dziwak!

– Nawet nie wiesz jak wielki, Malinowski! – odkrzyknął w biegu.

Wyszczerzył długie zęby w złośliwym uśmiechu, gdy dobiegł go wybuch gorączkowych, pełnych niedowierzania szepów.

Wyszedł na ciepłe, wieczorne powietrze, które pachniało suchą trawą i spalinami. Jak co noc od dziesięciu lat, przeczesał wzrokiem całe ciemne podwórko, nasłuchując najmniejszych odgłosów swoim wzmocnionym słuchem. Pociągnął kilka razy nosem, szukając znajomego, słodkawego zapachu rozkładu. Cisza. Spokój. Przynajmniej na razie.

– Co to jest wąpierz, też mi coś! – mruknął pod nosem, idąc do swojego samochodu.

Sam musiał przyznać, że dziesięć lat temu też by nie wiedział, czym jest to stworzenie. Nie wiedział do owej krwawej nocy, kiedy interweniował w sprawie zakłócenia ciszy nocnej, a skończył, odcinając samobójcę ze sznura.

Samobójcę, który został doprowadzony do śmierci przez starożytną rzeźbę Wija – smoczego generała demonicznej armii Czarnoboga, wyjętego wprost z legend dawnych Słowian.

Samobójcę, który mocą tej samej rzeźby wrócił do życia. Nie jako człowiek, lecz jako wąpierz – krwiożercze monstrum na smoczych usługach Wija – i dokonał rzezi w klasztorze kapucynów na ulicy Sztabowej.

Damian Dworak, starsłowińska wersja wampira.

To podczas oblawy na tego stwora dowiedział się rzeczy, o których wolałby nie wiedzieć.

Okazało się, że jest Łowczym – wojownikiem Peruna, starożytnego boga burzy, wojny i sprawiedliwości. Tamtej nocy spotkał innego Łowczego, który wiedział o wszystkim znacznie więcej niż on. Wokół nich od wieków toczyła się wojna.

Wojna, która zaczęła się w 966 roku, gdy Mieszko I schrystianizował swoje księstwo. Pogańscy kapłani stracili swoją moc i wpływy, a bóstwa Słowian zapłonęły gniewem. Najgroźniejsze z nich, Czarnobóg, pan złego losu, poprzysięgło zniszczyć nową wiarę.

Wezwał smoka Wija, który zamieszkiwał podziemia, by zgromadził armię demonów. Wij nie mógł opuścić swojego leża – powieki miał tak ciężkie, że niemal cały czas spał. Pętała go dodatkowo moc nowego Boga, więc zlecił swoim podwładnym stworzenie przeklętych rzeźb – kamiennych posążków samego siebie niosących klątwę.

Figurki te doprowadzały właścicieli do oblędu i samobójstwa. Klątwa była sprytna – posążków nie można było zniszczyć. Gdy właściciel ginął, jego dusza trafiała do Czarnoboga, a Wij miał moc ożywiania ich jako wąpierz – nieumarłych karmiących się ludzką krwią.

Ich zadaniem była destrukcja nowej wiary – sianie zwątpienia przez krwawe mordy na kapłanach i wiernych.

W akcie desperacji biskup Jordan próbował egzorcyzmować posążki, ale zamiast pomóc, tylko pogorszył sytuację. Aby ocalić siebie, zaczęto przekazywać rzeźby dalej, sprzedając je nieświadomym ludziom. Jeśli poprzedni właściciel ginął bez spowiedzi, jego dusza tak czy owak wpadała w szpony Wija. Podkomisarz był przekonany, że w tym również maczał palce

Czarnobóg. Wyznawcy wiary miłości, którzy z premedytacją sprowadzają niebezpieczeństwo na bliźniego, żeby ocalić własną skórę? Musiało mu to sprawiać nie lada ubaw.

Wąpierz zaczęły się mnożyć.

Tamtej nocy Rakowski pierwszy raz usłyszał o Łowczych – potomkach ludzi, którzy nosili w sobie dar Peruna. Ich poczęcie było owiane tajemnicą i wiązało się z mrocznymi mitami. Każdy Łowczy był albinosem, skazanym na życie w nocy, by polować na stwory chaosu. W zamian za tę słabość mieli niezwykle zdolności: wyostrome zmysły, ogromną siłę i – co najważniejsze – umiejętność niszczenia smoczych rzeźb.

Niewiele już ich zostało na świecie. Wiara chrześcijańska umocniła się tak, że Wij nie miał wystarczającej siły, by przekląć kolejne, a wyznawców Czarnoboga praktycznie już nie było.

Smok jednak nadal istniał, a podkomisarz od wielu lat próbował odnaleźć i zniszczyć pozostałe figurki.

Otrząsnął się ze wspomnień i otworzył kluczykiem drzwi wysłużonego samochodu służbowego marki Kia Ceed. Jego wiekowy Polonez przerdzewiał w końcu tak, że jazda nim groziła śmiercią, więc inspektor Kleczkowski łaskawie polecił wydać mu inne auto.

Niestety, kilka wieczorów wcześniej podczas służbowego karaoke żona inspektora zapytała Rakowskiego co sądzi o jej występie.

Podkomisarz zawsze dziwił się, dlaczego ludzie zadający pytania, nie chcą usłyszeć prawdziwej odpowiedzi. Pies sąsiadów naprawdę bardziej trzymał tonację podczas wycia do „I will always love you” niż Kleczkowska.

No i teraz jeździł rozklekotaną Kią, która została budżetowo wyremontowana po solidnym wypadku. W środku wszystko trzeszczało i piszczalo podczas jazdy, a klimatyzacji nie naprawiono, bo podobno zabrakło pieniędzy z ubezpieczenia.

Bożydarowi to nie przeszkadzało. Jeździł głównie nocą, więc wystarczyło otworzyć okno, by mieć naturalną regulację temperatury. Odpalił silnik i ruszył, włączając cicho rockowe radio i policyjną radiostację. Upał nadal trzymał miasto w uścisku, choć słońce już zaszło, znikając za linią betonowych bloków. Powietrze było suche, duszne i ciężkie, niosąc ze sobą zapach spalonej słońcem trawy, kurzu i spalin. Miasto wydawało się zmęczone tym bezlitosnym żarem, nawet jego zwykle tętniące życiem centrum było tego wieczoru przygaszone.

Bożydar skręcił w ulicę Powstańców Śląskich, mijając niemrawo poruszające się tramwaje i leniwie wlokące się samochody. Nawet pojazdy wydawały się unikać ruchu.

Auto jęknęło przy zmianie biegów, a z otwartego okna wpadł ciepły podmuch, niosąc ze sobą zapach asfaltu i nagrzaných budynków. Radio cicho grało, ale Bożydar go nie słyszał.

Te cholerne sny. Albo popadał w paranoję, albo działo się coś niepokojącego. Owszem, przez całe życie towarzyszyło mu doskonałe widzenie w ciemnościach, ale od kiedy zaczęły się owe koszmary, budziły się w nim nowe moce. Nadzwyczajny słuch i węch pojawiły się krótko po tym, jak przyśniło mu się mroczne słowiańskie bóstwo, które próbowało przedostać się na ten świat. To nie mógł być przypadek. Coś się działo.

Kolejnym niepokojącym sygnałem był telefon od ordynatora Oddziału Położnictwa Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego przy ulicy Borowskiej. Kilka miesięcy temu Bożydar odstraszył grupkę wyrostków, którzy zaczepiali na ulicy żonę Artura Sabackiego wracającą z nocnego dyżuru na SOR Szpitala Wojskowego i odeskortaował ją do domu. Od tamtego czasu ordynator starał mu się zrewanżować, zgłaszając wszelkie podejrzone sprawy, żeby podkomisarz mógł, jak to określił, zapunktować u przełożonych.

Jakby albinos nie miał tego głęboko w dupie.

Tym razem jednak instynkt podpowiadał mu, że nie była to kolejna bzdura, którą z rozkoszą mógłby zignorować.

Coś jest nie tak, panie podkomisarzu. Mamy u siebie na Borowskiej wielką ilość poronień. Zbyt wielką, jak na zwykły przypadek. Wyniki badań są zawsze prawidłowe, a noworodki albo rodzą się martwe, albo dochodzi do poronienia na terenie szpitala. Mamy już pierwsze oskarżenia o błędy w sztuce. Osobiście byłem przy kilku porodach, gdzie przebieg ciąży sugerował absolutnie zdrowe dziecko i rutynową dostawę na świat nowego człowieka, a kończyło się martwym noworodkiem. Porody były rejestrowane kamerami przez ojców, a zamiast pamiątki, są teraz dowodami w sprawie. Nie było żadnych błędów, tutaj dzieje się coś dziwnego. Proszę o pilny przyjazd.

Kiedy dotarł na Borowską, miasto było już pogrążone w ciemnościach. Większość okien szpitala było jasno oświetlonych, jakby starały się rozproszyć ciężar, który zdawał się wisieć nad tym miejscem. Skręcił na parking, zaparkował blisko wejścia, wyłączył silnik, radio i przez chwilę siedział bez słowa. Coś w powietrzu wydawało się złowieszczo cuchnąć,

choć nie był to prawdziwy odór. Czuł to przez skórę – ni to swędzenie, ni mrowienie, ale... coś. Jakby fizyczną manifestację niepokoju.

Zaciągnął ręczny hamulec, wysiadł i zamknął drzwi. Nawet o tej porze upał nie odpuszczał. Przez otwarte okno budynku dobiegł do niego przytłumiony dźwięk dziecięcego płaczu, który zniknął tak nagle, jak się pojawił.

Wewnątrz szpitala jarzeniowe światła były rażąco jasne, a powietrze lepkie od zapachu środków dezynfekujących i leków. Strażnik nawet nie spojrzał, kiedy przeszedł obok niego, skupiony na meczu w telefonie.

Podkomisarz poczuł, jak na ramiona wypełza mu gęsia skórka. Zmarszczył brwi. Nie było aż tak chłodno od klimatyzacji. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Z uczuciem, że coś jest nie w porządku Bożydar szybkim krokiem udał się na oddział położniczy, gdzie czekał na niego ordynator.

Znalazł go w gabinecie przy końcu korytarza. Mężczyzna był spocony, jego kitel kleił się do pleców, a okulary zsunęły się na sam czubek nosa. Spoglądał na Bożydara jak na ostatnią deskę ratunku.

– W końcu pan jest – rzucił, łapiąc go za ramię. Jego głos był niski, ale drżący. – Dziękuję. Proszę siadać. Kawy?

– Dziękuję, już piłem. Proszę mi wszystko opowiedzieć ze szczegółami, nieważne jak niewiarygodne by się panu wydawały.

Ordynator spojrzał na niego dziwnie i wziął głęboki wdech, wycierając czoło rękawem.

– To... to przybiera na sile. Panie Rakowski, mamy tu problem. Bardzo poważny problem.

– Do brzegu, doktorze Sabacki. Szczegóły. Co przybiera na sile?

– Kolejnych trzech dzieciaków nie udało się dziś uratować. Z przyczyn naturalnych, tak to wygląda. Ale panie podkomisarzu... – jego głos zadrżał jeszcze mocniej – W sumie to zastraszająca ilość. Osiemnaście zgonów w ciągu trzech tygodni. Wszystkie te dzieci zgodnie z przewidywaniami powinny były przyjść na świat całe i zdrowe.

Bożydar zacisnął szczękę.

– I dopiero przy drugiej dziesiątce pan do mnie zadzwonił? Jakies błędy lekarskie, o których wołałby pan nie mówić? – zapytał, choć odpowiedź była oczywista.

– Przecież w takim wypadku raczej nie wzywałbym policji, prawda? – zachnął się ordynator. – Proszę to obejrzeć.

Obrócił monitor komputera w jego stronę i uruchomił film.

– To pierwszy z dzisiejszych porodów – wyjaśnił. – Film jednego z naszych niedoszłych ojców. Zapomniał kamerę z rozpaczy, pozwoliłem sobie bez jego wiedzy skopiować to nagranie do analizy, bo za cholerę nie możemy dojść do tego, co zabija te dzieci.

Rakowski wpatrywał się w ekran, na którym wyświetliło się nagranie. Obraz był nieco rozmyty, co nadawało całej scenie jeszcze bardziej niepokojący charakter. Kamera drżała, jakby jej operator był pod silnym wpływem emocji. Na filmie widać było salę porodową, oświetloną ostrym, zimnym światłem. Lekarze i pielęgniarki pracowali w skupieniu, wszystko wydawało się przebiegać rutynowo, chociaż podkomisarz zauważył nerwowość w ruchach personelu.

Z początku nic nie wyglądało podejrzanie. Kobieta na łóżku rodziła, a zespół medyczny wykonywał swoje zadania książkowo. Narodziny przebiegły bez komplikacji – dziecko przyszło na świat, a jego płacz wypełnił salę. Było zdrowe.

Ale potem wszystko się zmieniło.

Na nagraniu widać było, jak dziecko, które pielęgniarka przenosiła do stanowiska, by je oczyścić i zbadać, nagle przestaje płakać. Kamera uchwyciła moment, w którym małe ciało napięło się, jakby coś je pociągnęło, po czym noworodek oklapł. W tle słychać było chaos – głosy lekarzy, polecenia wydawane w pośpiechu, ale działania personelu nie przynosiły żadnego efektu.

– Zatrzymaj – powiedział Bożydar cicho, a ordynator wcisnął pauzę.

Podkomisarz wpatrywał się w ekran. Na obrazie widniała pielęgniarka, która uniosła dziecko, a jej twarz zastygła w wyrazie absolutnego przerażenia.

– Proszę cofać klatka po klatce, chyba widziałem coś dziwnego.

Sabacki posłusznie klikał myszką, aż usłyszał kolejne polecenie.

– Stop! – polecił albinos, a w jego głosie dało się wyczuć napięcie. – Tutaj!

Ordynator milczał, wpatrzony w ekran z ustami rozchylonymi z zaskoczenia.

Na nagraniu dziecko trzymane przez pielęgniarkę miało zamknięte oczy i niezdrowy odcień skóry, lecz tuż nad nim unosił się srebrzysty, niemal przeźroczysty cień. Przypominał widmowego noworodka, a sposób rozmycia obrazu wskazywał na szybki ruch zjawiska w górę.

Sabacki cofnął jeszcze o jedną klatkę, ale nie znalazł na niej widziadła, więc wrócił do tajemniczego kadru. Przełknął ślinę i odwrócił wzrok od ekranu, patrząc w oszołomieniu na podkomisarza.

– To jest tylko na jednej jedynej klatce – powiedział cicho. – Jak pan to zobaczył? Co to do diabła jest?

Bożydar odsunął się od monitora i przetarł twarz dłonią.

– To nie jest żadna choroba, błąd czy efekt środowiskowy – powiedział w końcu. – To coś więcej.

– Ale na co my właściwie patrzymy?

– Jak ogląda pan w domu z żoną film, którego wcześniej nie widziała, to też pan pyta, co będzie dalej? – Bożydar westchnął z irytacją i wstał. – Bo gwarantuję panu, że ją to wkurwia. Nie wiem. Muszę zobaczyć tę salę porodową.

Sabacki poczerwieniał lekko, ale skinął głową.

– Rozumiem. Można było powiedzieć to bez złośliwości. Proszę za mną.

– Można było, ale gdzie w tym frajda? – mruknął pod nosem albinos.

Wyszli z gabinetu i ruszyli głębiej na oddział, gdzie znajdowały się porodówki. Po kilkunastu krokach w milczeniu ordynator zerknął kątem oka na albinosa.

– Serio pan myśli, że to ją denerwuje? W sensie moją żonę.

– To jest teraz pana główne zmartwienie? – Dziwne, różowe tęczówki podkomisarza błysnęły, gdy z wyraźną niecierpliwością wywrócił oczami. – Dobra, żeby panu ulżyć w tej jakże trapiącej niepewności – tak, doprowadza ją to do szału. Każdego by doprowadzało. Na filmach się nie gada!

Urażony ordynator nie odpowiedział ani słowem, przyspieszając kroku. Gdy otwarli drzwi do kolejnego korytarza, Rakowski aż zmrzył oczy od intensywności zapachów i jeszcze bardziej obniżył czułość swojego powonienia. Leki, środki czystości, krew, silny zapach nieczystości i coś jeszcze, co na razie umykało klasyfikacji. Kombinacja nie do wytrzymania dla jego wrażliwego nosa.

Weszli na salę oznaczoną numerem cztery.

– To tutaj nakręcono ten film – głos Sabackiego zadrżał, po urazie nie było już śladu. – Przeglądałem osobiście każdy kąt przed porodem, nie ma tu nic nadzwyczajnego. Przeszukałem materac, osobiście zdezynfekowałem narzędzia, sprawdziłem leki. Gwarantuję panu, że nie można było lepiej przygotować się do przyjścia na świat tego dziecka.

– A mimo to licznik spisu ludności ani drgnął – zauważył Bożydar podchodząc do łóżka. – To tutaj mniej więcej stała pielęgniarka na tym dziwnym kadrze, prawda?

– Tak, dokładnie tutaj.

Albinos zamknął oczy i ostrożnie sondował swoimi wzmocnionymi zmysłami przestrzeń dookoła siebie. Niemal natychmiast dziwne uczucie z parkingu wróciło. Jego kark mrowiąco swędział, powodując, że białe włosy na jego skórze zjeżyły się jak u zaalarmowanego psa myśliwskiego. Wciągnął głęboko pełne zapachów powietrze i aż się wzdrygnął, gdy rozpoznał słodkawo-metaliczno-gnijący zapach zwłok.

Zaraz, zaraz. Ta wyszarpnięta z noworodka dusza – od pierwszej chwili Bożydar nie miał wątpliwości, na co patrzy – poruszała się w stronę sufitu, prawda?

Zerknął w górę na aluminiowe przewody wentylacyjne. Bez słowa wspiął się na szpitalne łóżko, kompletnie ignorując pełen dezaprobaty wzrok ordynatora, który wyraźnie nie pochwalał butów albinosa na pościeli. Rakowski podważył kratkę wentylacyjną nożem sprężynowym, który wyciągnął z kieszeni i natychmiast zakasłał z obrzydzeniem. Zapach rozkładających się zwłok był tutaj wyraźniejszy, jakby wypływał wprost z czeluści przewodów.

Zeskoczył z łóżka i przymknął oczy, obniżając czułość swoich zmysłów do poziomu przeciętnego człowieka. Poczuł niemal namacalną ulgę, ale obrzydzenie pozostało.

– Wyczuł pan coś? – Zapytał Sabacki, zaniepokojony wyrazem twarzy Łowczego.

– Ktoś w ogóle sprawdzał te przewody? – Rakowski rzucił, jakby nie usłyszał pytania. – Zakładam, że centralna klimatyzacja znajduje się w piwnicy szpitala?

– Na Boga, klimatyzacja truje te dzieciaki? – Wykrztusił ordynator, który zachwiał się i bezwiednie opadł na łóżko, błądy jak kreda. – Matko Boska, jeśli to prawda, wszyscy pójdziemy siedzieć!

Rakowski tylko wzruszył ramionami i ruszył w stronę drzwi.

– Nie zaszkodzi sprawdzić, ale to raczej nie to – rzucił beznamiętnie. – Prowadź pan.

Nie wspomniał Sabackiemu o tym, co naprawdę poczuł. Nie o sam zapach chodziło, ale o uczucie, które go przeszło – coś mrocznego, pierwotnego,

przyprawiającego o dreszcz zagrożenia. Tę sensację znał aż za dobrze. Towarzyszyła mu za każdym razem, gdy w pobliżu czaiło się coś, co wymykało się ludzkiej naturze.

To samo czuł dziesięć lat temu, gdy ścigał przeistoczonego Damiana Dworaka, który wymordował pół klasztoru kapucynów. To samo uczucie towarzyszyło mu na brzegu Odry, gdzie rozprawił się z dziewczyną przemienioną w utopca. Jak ona się nazywała? Małgorzata Świerowska. Wspomnienie walki uderzyło go tak, jakby to było wczoraj – stalowa lina, stary Polonez i kanister benzyny. Topielec przestał istnieć, ale odór spalenizny przez wiele dni prześladował jego sny.

Teraz czuł to znowu, co mogło oznaczać tylko jedno.

Gdzieś w szpitalu czaił się kolejny stwór – coś, co służyło Wijowi, a może nawet samemu głównemu złolowi.

Czarnobogu.

Przeszli długim, podziemnym korytarzem do pomieszczeń piwnicznych, w których znajdowały się potężne urządzenia chłodzące. Smród rozkładu był tu tak wyraźny, że Sabacki rozkaszał się, osłaniając usta i nos rękawem.

– Mój Boże, co tak śmierdzi? – Wykrztusił, przełykając z trudem ślinę. – Przecież to ewidentnie zapach padliny! Czyżbyśmy mieli szczury?

– Nie sądzę, żeby jakiś martwy gryzoń wydzieliał ten zapaszek – Bożydar obniżył czułość swego węchu, by nie musieć znosić obrzydliwego odoru.

Ordynator podszedł do ściany i pstryknął włącznikiem światła. Strzeliło głośno i z lampy na suficie posypał się snop iskier.

– Jasna cholera! – Krzyknął przestraszony Sabacki. – Wracam po latarkę, nic nie widać w tych ciemnościach.

Bożydar najpierw usłyszał dźwięk, którego nie powinno tu być – przeciągłe, wilgotne cmoknięcie i mlaskanie, jakby pies zlizywał coś z podłogi. Ciche kwilenie niemowlęcia, które wywołało u niego gęsią skórę. Potem odgłosy ucichły i dało się słyszeć tylko dźwięki pracujących urządzeń. Rakowski poczuł, jak zimny pot spływa mu po karku. Powietrze w piwnicy nagle zrobiło się cięższe, gęstsze, wyczuł narastającą falę smrodu. Intensywność odoru spowodowała, że poczuł mdłości i z trudem opanował żołądek. Jego towarzysz nie wykazał tyle kontroli i stał teraz oparty rękami o ścianę, próbując opanować wstrząsające nim torsje.

Kątem oka dostrzegł ruch w mroku. Odwrócił się gwałtownie, ale nie dostrzegł niczego. Był jednak pewny, że coś tam było. Zrobił ruch w stronę

Sabackiego, by upewnić się, że mogą kontynuować, gdy usłyszał chrobot pazurów po podłodze.

Z ciemności pomieszczenia wyprysnął mroczny kształt. Ostrzeżony w ostatniej chwili Łowczy zrobił krok w bok, odwracając się w kierunku niebezpieczeństwa.

Atakujący go stwór chaosu nie trafił ciosem szponów w ścięgno Achillesa, w które celował. Gdyby zamiar się powiodł, albinos z pewnością upadłby na brudną podłogę, odsłaniając gardło. Bożydar zaklął, gdy napastnik zwinął się jak sprężyna i niemal natychmiast zmienił kierunek natarcia, ponawiając chybiony atak.

Bydlak był szybki. Zbyt szybki.

Adrenalina rozszalała się w żyłach albinosa niczym huragan mocy. Zrobił unik z refleksem, którego u siebie nie podejrzewał. Poczuł piekący ból w łydce, ale pazury bestii tylko powierzchownie go zadrapały. Dał susa w bok z powrotem na korytarz zalany światłem jarzeniówek.

– Co to było? – wyjąkał Sabacki, patrząc na poszarpane spodnie podkomisarza. – Jakiś duży kot?

Z ciemności piwnicy dobiegł ich przerażający płacz niemowlęcia. Rakowski poczuł, jak jeżą mu się włoski na przedramionach.

– Stój! – chwycił ordynatora, który zbłądł i postąpił krok do przodu.

– Ależ tam jest dziecko!

– To chce, żebyśmy tak myśleli – oznajmił ponuro, wiedząc, że brzmi jak nawiedzony. – W tej piwnicy nie ma niczego żywego, nie czujesz pan tego smrodu?

– Śmierdzi padliną – przyznał Sabacki. – Co ma pan na myśli mówiąc to?

– Uzna mnie pan za wariata, więc lepiej najpierw przyniosę panu dowód – westchnął Rakowski.

Rozejrzał się dookoła i dostrzegł stojący pod ścianą mop z drewnianym kijem. Silnym kopnięciem odłamał końcówkę i sprężynowym nożem zaostriżył ją, tworząc improwizowaną włócznię.

– Panie podkomisarzu, co pan wyprawia? – przestraszył się Sabacki. – Wezwijmy ochronę!

Albinos wycelował w niego prymitywną broń.

– Sza! I ani pan drgnij, dopóki nie wrócę.

Oszołomiony i przestraszony ordynator patrzył, jak policjant znika w ciemnościach z włócznią uniesioną do ciosu.

– Przecież tam nic nie widać – wyjąkał i zamarł, gdy włócznia ponownie wskazała go wymownym ruchem, z którego przebiegała irytacja.

Oczywiście Rakowski nie potrzebował światła. Jego niezwykle oczy widziały wszystko jak na dłoni. Przeczesał pomieszczenie metodycznie, zaglądając w każdy kąt i do każdego pudła. Jego zmysły pracowały pełną parą, mimo że odór rozkładu ścisnął do za gardło brudną, lepą dłonią.

Fala smrodu pojawiła się równocześnie z tym dziwnym szuraniem. Ruchy albinosa przyspieszyły, gdy uderzenie adrenaliny umożliwiło mu skorzystanie z niezwyklego refleksu, który dopiero co u siebie odkrył. Spojrzał w kierunku, z którego nadchodził atak.

Po podłodze piwnicy sunął ku niemu groteskowy niemowlak o sinej skórze, jakby wyjęty wprost z obrazu Beksińskiego. Zamiast rąk i nóg miał zakończone groźnymi szponami łapy, a w małej główce kłapała nieproporcjonalnie wielka paszcza pełna ostrych kłów.

Rakowski krzyknął z przerażenia i dźgnął potwora zaimprovizowaną włócznią. Mimo szybkości ataku stwór zdołał uniknąć ciosu. Prześlizgnął się pod drewnianym ostrzem i skoczył na udo mężczyzny, wbijając w jego mięśnie zakrzywione pazury. Albinos wrzasnął z bólu i usiłował odepchnąć go, blokując kłapiącą paszczę drewnianym kijem. Drzewce rozpadło się w snopie drzazg, gdy potworek zacisnął na nim żółte kły. Bożydar zatoczył się w tył, szamocząc z napastnikiem. Spróbował chwycić go za kark jak niesfornego psa, by rzucić nim o ścianę, ale jego skóra była zbyt śliska, a on sam zbyt giętki. Paszcza kłapnęła z trzaskiem kłów tuż obok jego dłoni, gdy głowa abominacji odwróciła się o niemożliwe sto osiemdziesiąt stopni, by odgryźć mu palce. Albinos cofnął dłoń, a upiorny niemowlak wykorzystał chwilę i kilkoma ruchami szponów wspiął się wyżej, próbując dosięgnąć gardła podkomisarza.

Szczęki zacisnęły się na srebrnym krucyfiksie zawieszonym na szyi Bożydara.

Rozległ się syk bólu i rozpaczliwy płacz dziecka. Stworzenie cofnęło się o krok w dół, zadając kilka nowych ran od pazurów, ale Łowczy dostał swoją szansę. Błyskawicznym ruchem szarpnął za krzyż, zrywając go z szyi. Tym samym ruchem zatopił pionową belkę wisiora w oku potworka.

Stwór ryknął z bólu, ale Rakowski wepchnął improwizowany srebrny sztylecik głębiej, przytrzymując groteskowe ciało drugą ręką. Ryk urwał się, gdy ostrze dotarło do mózgu.

Rakowski na wszelki wypadek wzmocnił uchwyt na chudym karku, ale miniaturowe monstrum zwisało bez życia. Na drżących nogach wyszedł na oświetlony korytarz i rzucił ordynatorowi pod stopy cuchnące truchło. Sabacki odskoczył jak oparzony.

– Co to jest, na Boga? – krzyknął z niedowierzaniem.

Łowczy trącił zwłoki butem, przewracając je na plecy. Bezoką twarz potwornego noworodka wypełniała niemal w całości pełna kłów paszcza.

– Na mój nos to jakiś starosłowiański demon – Bożydar wyjął z kieszeni spodni telefon i zrobił kilka zdjęć.

– Demon? – prychnął ordynator. – Nie wierzę w bajki, podkomisarzu. To musi być jakiś... mutant! Trzeba to zabrać do laboratorium i zbadać. Może to jakiś nowy gatunek?

– Gatunek żyjący w piwnicach oddziałów położniczych? – Narastający ból poszarpanych pazurami bestii nóg znacznie obniżył próg wytrzymałości Rakowskiego na idiotyzmy. – Porodówkus absurdatis, tak? Proszę się nie krępować i zadzwonić do szpitala w Oławie z pytaniem, czy w ich systemie wentylacji też żyje pozbawiony oczu noworodek z paszczą jak u tego stwora z filmu Venom i pazurami Wolverina. Ach, no i koniecznie proszę zapytać, czy biega z szybkością karalucha na czworakach pępkiem do góry i wysysa dusze z noworodków!

– Nie wierzę w demony, panie Rakowski. To musi być po prostu biologia.

– Tak, z pewnością ta totalna – prychnął Bożydar. – Jest świetna w wymyślaniu świata od nowa, na bank znajdzie miejsce dla tego przystojniaka. Może się nawet okaże, iż to efekt zatrucia przez chemtrails, a bio-rezonans to leczy!

– Podkomisarzu, przecież wie pan, że to bzdury.

– Demony według pana też, a proszę popatrzeć. Jeden leży przed nami.

– Nowy gatunek nie oznacza od razu...

– Chętnie popatrzę, jak odbiera pan Nobla z totalnej biologii za to odkrycie – przerwał mu gniewnie Rakowski. – Proszę pamiętać, żeby mnie wymienić w podziękowaniach, to mnie za każdym razem wzrusza do łez. Czy mi się wydaje, czy zaczęło cuchnąć jeszcze bardziej?

Przyjrzał się uważnie martwej kreaturze, ale nie zauważył oznak życia, za to na jego oczach nastąpił błyskawiczny proces gnilny. Smród nasilił się tak, że musiał zasłonić usta i nos rękawem. Ciało potworka flaczało i rozpływało

się w szybkim tempie, w kilka chwil pozostawiając na podłodze plamę nieokreślonej mazi.

Ordynator zwymiotował.

Bożydar odskoczył w tył, błagając swoją śnialacę, żeby została na miejscu. Nic go tak nie obrzydzało jak widok wymiotujących ludzi. Ominął lekarza szerokim łukiem i pobiegł do wyjścia z piwnicy, uciekając przed odgłosami torsji.

– Łowczy, nieustraszony pogromca słowiańskich demonów, pokonany przez rzygi – mruknął ze złością, oddychając głęboko, żeby uspokoić żołądek.

Po chwili w drzwiach stanął blady jak trup Sabacki.

– Co ja mam powiedzieć prokuratorowi? – jęknął żałośnie, patrząc na podkomisarza. – Jeśli powiem prawdę, posadzą mnie w wariatkowie.

– Jaką prawdę? Przecież tutaj się nic nie wydarzyło. Nie popełniono żadnego błędu w sztuce, ciężarne pewnie przechorowały COVID-19 w trakcie ciąży, a to nieznany i rzadki skutek uboczny. Śmierć noworodków była tragiczna, ale szpital zrobił wszystko, żeby je uratować. Nie udało się.

Sabacki popatrzył na niego dziwnie.

– Coś mi mówi, że to nie pierwszy raz, gdy racjonalizuje pan niewyjaśnioną śmierć, podkomisarzu.

– A czy to coś mówi też panu, żeby mnie opatrzyć, czy sam muszę o to prosić? Ten mały skurwiel paskudnie poharatał mi nogi.

Ordynator jakby ocknął się z głębokiego snu. To było coś, czemu mógł zaradzić.

– Cholera, panie Rakowski, proszę o wybaczenie – spojrzał z niepokojem na obfite plamy krwi na poszarpanych spodniach policjanta. – Zajmę się tym osobiście.

– To nie poprosi pan kogoś z SOR, żeby zszył rany po pazurach porodówkus absurdatis?

Lekarz zbył go milczeniem. Wrócili do gabinetu, przyciągając po drodze kilka zaciekawionych spojrzeń. Bożydar zdjął spodnie, posykując z bólu. Wciągnął głęboko powietrze na widok paskudnych, głębokich rozcięć, które nadal obficie krwawiły. Sabacki polał je solidnie środkiem dezynfekującym i ignorując wymyślne przekleństwa albinosa zszył wprawnymi ruchami. Na koniec zrobił zastrzyk przeciw tęzczowi.

Po wszystkim sięgnął do biurka i wyciągnął dwie szklanki i butelkę brandy. Nalał sownicie i wychylił bez słowa. Rakowski przyjął trunek i poszedł w ślady ordynatora.

– Trzeba było to zrobić zanim mnie pan sfastrygował – mruknął z wyrzutem, odstawiając puste szkło.

– Woli pan naklejkę „Dzielny pacjent”? Proszę chwilę poczekać, chyba mogę pomóc w sprawie garderoby.

Pogrzebał w niewielkiej szafie i wyjął schludnie złożone szare spodnie dresowe.

– Na oko nosi pan mój rozmiar, a te pokrwawione ciuchy do niczego się już nie nadają. Są czyste, trzymam je na wypadek konieczności spania w gabinecie.

Rakowski skinął z wdzięcznością głową. Posykurując z bólu założył spodnie i na powrót wsunął trampki. Przynajmniej ich nie zachlapała krew, byłoby szkoda wyrzucać prawie nowe buty.

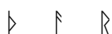
– Pójdę już – skinął Sabackiemu.

– Znowu mam u pana dług, podkomisarzu – westchnął ordynator, wyciągając dłón.

Bożydar uściskał ją energicznie, przytrzymał i spojrzał mu znacząco w oczy.

– A to niby z jakiego powodu? Przecież tutaj nic się nie wydarzyło. Do widzenia, panie Sabacki.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.



Wrócił do swojego mieszkania i łyknął kilka tabletek przeciwbólowych. Świeże rany bolały go jak cholera. Spodnie ordynatora pasowały niemal jak ulał, a do tego były całkiem niezłe gatunkowo. Postanowił, że nie będzie się przebierać, zanim pojedzie na komisariat. Żałował tylko, że zapomniał o skonfiskowanym woreczku z marihuaną, który został w jego wyrzuconych do śmieci joggersach. Jej przeciwbólowe działanie byłoby teraz jak znalazł.

W oczekiwaniu na to, by prochy się wchłónęły, usiadł przed komputerem. Kilka tygodni temu wymienił wreszcie stary monitor „z dupą” na jakiś poleasingowy z płaskim, panoramicznym ekranem, przez co na jego biurku zrobiło się nagle dużo więcej miejsca.

Oczywiście tylko na chwilę, bo obecnie cała dostępna powierzchnia zavalona była książkami i notatkami.

Komputer wreszcie się uruchomił, chociaż dioda dysku miała wściekle jeszcze przez co najmniej dwie minuty. Bożydar westchnął ciężko. Wiedział, że jeśli chce uniknąć kłopotów, będzie musiał niedługo zainwestować w jakiś mniej przedpotopowy sprzęt. Według policyjnego informatyka używanie nadal Windowsa XP i kulkowej myszki było karą zagrożoną dożywociem.

Gdy skaczący kursor przeszedł wreszcie w płynny sposób poruszania się po ekranie, uruchomił WinAmp i przejrzał katalog skonfiskowanego dysku twardego pełnego plików mp3. Wybrał Led Zeppelin i ściszył nieco płynącą z głośników muzykę, żeby pozostała jedynie szumem tła. Odpalił przeglądarkę i w wyszukiwarce wpisał szukaną frazę.

Pokraczny niemowlak bez oczu z paszczą pełną ostrych kłów.

Nic.

Demoniczny noworodek

Bingo. To było aż zbyt proste. Wikipedia nie zawodzi.

– Poroniec – przeczytał na głos. – W wierzeniach słowiańskich złośliwy i wrogi ludziom demon wywodzący się z duszy poronionego dziecka lub spędzonego płodu. To by pasowało. Powinni jeszcze dopisać że bytuje w podziemiach porodówek, a jak zgłodnieje to wysysa dusze z nowonarodzonych dzieci.

Zastanawiał się przez chwilę, ale w końcu westchnął i wyciągnął tani chiński smartfon, na który zamienił swoją wysłużoną Nokię.

– Niech pan sprawdzi w internetach hasło poroniec – napisał wiadomość do Sabackiego. – Będzie pan lepiej spał.

Odpowiedź nadeszła już po kilku minutach.

– W jakim świecie będę lepiej spał po przeczytaniu o demonie, który powstaje z poronionego płodu? – odczytał tekst czatu. – No cóż, ja bym na pewno spał gorzej nie wiedząc, co właściwie ukatrupiłem.

Nagle cicha muzyka płynąca z komputerowych głośników zacięła się na jednym zapętłonym dźwięku. Monitor zaświecił niebieskim ekranem, gdy wiekowy Windows zaliczył krytyczny błąd systemu.

– Szlag! – Westchnął albinos, gdy mimo restartu sprzęt nie chciał się uruchomić. – Poroniłem swojego blaszaka na amen...

Wyłączył bezużyteczny komputer i wyciągnął się na kanapie. Nogi pulsowały wściekłym bólem, ale i tak niemal momentalnie odpłynął w sen.

Mroczna, postać kłębiąca się pod nieboskłonem wyciągnęła w jego kierunku szponiaste ręce, w których trzymała zwłoki porońca.

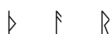
– Wybrałeś stronę, Łowczy – zadudnił zimny głos. – Niech i tak będzie!

Cisnęła truchłem w stronę albinosa. Demon ożył i rozwarł szeroko paszczę, wydając z siebie zawodzący płacz dziecka.

Bożydar zerwał się z łóżka, przytomniejąc w ułamku sekundy.

Pieprzone koszmary.

Zerknął na zegarek. Zaklął, widząc jak bardzo jest spóźniony.



Dotarł na posterunek w kilkanaście minut. Całe szczęście ulica Ślężna znajdowała się rzut beretem od jego mieszkania na Powstańców Śląskich. Zaparkował swoją rozklekotaną Kię na jednym z zarezerwowanych miejsc i wysiadł, ignorując pulsujący ból w nogach. Każdy krok przypominał mu o starciu z demonem. Miał wrażenie, że smród porońca przykleił się do wnętrza jego nosa i dręczy go bez przerwy. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pokazać zdjęć truchła komuś w laboratorium kryminalistycznym, ale odrzucił tę myśl niemal natychmiast. Nie był znany z poczucia humoru, ale na pewno potraktowaliby to jako kiepski wkręt.

W środku panował niewielki wieczorny ruch, COVID-19 nie oszczędzał również policji. Radiostacja cicho trzeszczała, ktoś krzyczał przez telefon, a drukarki wydawały swój monotony mechaniczny śpiew. Kilka spojrzeń powędrowało w jego stronę, kiedy kulejąc przekroczył próg. Jeden z młodszych policjantów, Nowicki, przyjrzał mu się z podejrziwym grymasem.

– Co cię tak poskładało, Rakowski? – Rzucił z widocznym rozbawieniem.

– Tylko życie, Nowicki – burknął Bożydar, nie zatrzymując się ani na chwilę. – Spróbuj kiedyś je przeżyć, a nie oglądać przez ekran smartfona.

Szeptany śmiech odbił się od ścian, kiedy Bożydar zmierzał w stronę swojego biurka. Przetarł dłonią twarz i usiadł z westchnieniem, czując, jak ból nóg nasila się, zamiast uspokajać. Na blacie piętrzyły się formularze, których jak zwykle nie miał ochoty wypełniać. Na górze widniała różowa samoprzylepna karteczka. Oderwał ją i przeczytał.

– Do kurwy nędzy, Wściekły Królik! Zalegasz z raportami za cały tydzień, rano oczekuję ich na moim biurku!!!

Nie było podpisu, ale tylko jedna osoba zwracała się do niego per Królik.

Inspektor Kleczkowski, szef posterunku Wrocław–Krzyki.

– Wspaniale – mruknął albinos, mnąc notatkę w kulkę i rzucając nią celnie do kosza na śmieci.

Wyciągnął długopis i zaczął od niechcenia wypełniać kolejne rubryki.

Praca papierkowa była monotonna, ale to pozwalało mu oczyścić myśli. Nie miał też zamiaru przyznawać przed sobą, że poczuł ulgę na myśl o biurowej pracy tej nocy. Jego poharatane pazurami demona nogi paliły żywym ogniem i wzdrygał się na samą myśl o chodzeniu.

Po kilku godzinach przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy i ruszył do pomieszczenia socjalnego. Było niemal puste, tylko dwóch funkcjonariuszy stało przy automacie z kawą. Nowa fala zachorowań na COVID-19 robiła swoje. Rozmawiali półgłosem, ale w cichym pomieszczeniu ich słowa niesły się wystarczająco wyraźnie, by je usłyszał.

– Słyszałeś o tym kościele na Ślęży? – Zaczął jeden z nich, trzymając w ręce parujący kubek.

– Ten, co to go podobno zniszczyło trzęsienie ziemi? – Odparł drugi, z wyraźną nutą sceptycyzmu w głosie. – Daj spokój Tomek, u nas nie ma trzęsień ziemi. Wbrew plotkom Ślęża to nie wulkan.

– Nie tylko zniszczyło, ale ponoć w środku znaleźli coś dziwnego – kontynuował niezrażony rozmówca. – Jakąś starosłowiańską kryptę ze starożytnym sarkofagiem, kawał srebrnego łańcucha i kołek z tego samego metalu. Wszystko warte majątek.

– A z jakiego powodu my się tym interesujemy? To chyba robota dla archeologów?

– Znaleźli trupa. Jeden z tych nawiedzonych pogan, co to szukają kwiatu paproci. Wlażł do środka i znaleźli go po trzęsieniu ziemi z poderżniętym gardłem.

– Poderżniętym? – wtrącił się albinos. – Mówisz, jakby ktoś mu to zrobił.

Sawicki zawahał się, a potem wzruszył ramionami, jakby chciał zbyć temat.

– Oficjalnie to wciąż „wypadek” – mruknął. – Ale jak dla mnie... coś tu śmierdzi. I to nie tylko ten trup.

– W sensie?

Mężczyzna podrapał się po karku i rozejrzał, jakby sprawdzał, czy nikt inny ich nie słucha.

– No bo tak – zaczął półgłosem. – Mamy zeznania świadka, który widział, jak przed trzęsieniem ziemi do środka wchodzi pięć osób. I nagle... jeb. Ziemia się zatrzęsała, kościół pękł na pół, coś tam się osunęło. Kiedy świadek odważył się zerknąć do środka, denat już leżał z prawie odciętą głową.

– I co w tym dziwnego?

– A gdzie pozostała czwórka? Świadek nie widział, żeby wychodzili ani nie ma żadnych zgłoszeń w okolicznych szpitalach. To co, posypało się szkło i gruz i trafiło tak feralnie tylko jedną osobę? Reszta nie została nawet draśnięta? I gdzie się podziali? W tej krypcie ich nie było.

– Okej... – Bożydar oparł się o blat. – To co go zabiło według twojej teorii, Sherlocku?

Sawicki wymienił spojrzenie z Grodzkim.

– I tu robi się dziwnie. – Grodzki oblizał nerwowo wargi. – Bo jak nasi weszli następnego dnia do środka, to denat miał rozciętą szyję tak głęboko, że prawie mu łeb odpadł. Czyli musiało być morze juchy. A nie było jej wiele.

– Nie było krwi przy przeciętej tętnicy? – Rakowski poczuł znajome ukłucie lodowatego niepokoju.

– A chuj wie co tam się właściwie stało. – Sawicki westchnął. – Może już go tam martwego przytасzyli? Ta pozostała czwórka, w sensie. Ale to jeszcze nie wszystko.

Bożydar uniósł brew.

– A co, mają tam też ducha?

Sawicki pokręcił głową.

– Tego właśnie nikt nie chce powiedzieć głośno. Ale wiesz, jak to jest. Ludzie gadają. Jakiś facet – nie ten, który znalazł zwłoki, ale inny bohater, co odważył się później wleźć do środka – teraz leży w szpitalu. Nie chce mówić, co widział. Od momentu, kiedy go wyciągnęli, tylko mamrocze pod nosem i patrzy w przestrzeń. Lekarze uważają, że jest w stuporze katatonicznym pod wpływem przeżytej traumy.

– A co na to proboszcz? Mamy jego zeznania?

– Według niego organizatorzy mieli absolutny zakaz zbliżania się do kościoła. Co dziwne, po tej tragedii proboszcz odmówił wejścia do środka, nie chce nawet słyszeć o odbudowie. Powiedział, że w tych ruinach nie czuje Boga.

– To akurat nic dziwnego – parsknął Rakowski, chociaż jego śmiech zabrzmiał trochę sztucznie. – Zamiast zbierać na tacę, kuria musiałyby wyłożyć miliony na remont. Pewnie zostawią to konserwatorowi zabytków.

– No, ale skoro Bóg stamtąd wyszedł, to może coś innego weszło? – mruknął Sawicki i spojrzał na niego ciężko. – Jakiś Belzebub, haha!

– Kto prowadzi tę sprawę? – spytał Rakowski, by sprowadzić rozmowę na bezpieczniejsze tory.

– Konieczny, a czemu pan pyta?

– Wiadomo coś więcej na temat tego srebra? – albinos zignorował pytanie.

– Skoro to tyle warte, jakim cudem nikt z tych neopogan tego nie skroił?

Tomasz Sawicki wzruszył ramionami.

– Pewnie nikomu nie przyszło do głowy włączyć do walącej się ruiny po trzęsieniu ziemi.

– Przecież jeden wlaźł – zauważył drugi z policjantów. – I dostał spadającym szkłem. Idę o zakład, że upadł z ręką wyciągniętą w kierunku tego srebra, hehe.

– Eh, Grodzki, Grodzki – westchnął jego kolega. – Ten twój cynizm wpędzi cię kiedyś w kłopoty, jak ktoś podpierdoli te twoje żarciki do działu kadr.

– Podkomisarza Rakowskiego już wielokrotnie wzywali na dywanik i co?

– I nadal jest podkomisarzem – mruknął albinos. – Do tego jeździ najgorszym samochodem w całej policyjnej flocie. Dodaj dwa do dwóch, posterunkowy.

– No i nie zapominajmy, że cały czas wciskają panu nocną służbę – Grodzki wyraźnie się rozkręcał. – Jak tak można? Wstawię się za panem, podkomisarzu!

Sawicki nadepnął koledze na stopę, widząc minę Bożydara.

– Widzisz, synku – powiedział Rakowski grobowym tonem, patrząc na niego lodowato. – Właśnie to jest ten moment, gdy zarobiłeś na zgłoszenie do kadr. Mobbing w miejscu pracy, kolego. Wyśmiewanie mojej genetycznej wady, przez którą nie mogę wyjść na słońce. Wielokrotnie byłem już obiektem żartów, ale nigdy tak okrutnych.

– Ale...

– Czy ty myślisz, posterunkowy, że ja nie chcę wystawić twarzy na promienie słońca? Poopalać się w aquaparku? Posiedzieć w tłumie ludzi?

– Panie podkomisarzu, ja...

– Postać w korkach na pełnym słońcu w samochodzie z niedziałającą klimatyzacją? Jechać w nagrzanym tramwaju z bandą niewykąpanych studentów po nocnej balandze, śmierdzących przetrawionym alkoholem i nieogolonymi pachami? Jasne, że nie!

Młodzi policjanci popatrzyli na siebie skonsternowani.

– To znaczy, że te kadry...? – zagadnął niepewnie skołowany Grodzki.

– Tak się właśnie robi żarty z kolegów w pracy, młody – Bożydar nadal wpatrywał się w niego z kamienną miną – Ja uwielbiam noc. Zostałeś wręczony, posterunkowy.

– Jasna cholera, panie podkomisarzu! – Ulga widniejąca na twarzy mężczyzny była wręcz komiczna. – Pan to tak poważnie mówił, że już się zęgałem z premią.

– Ja zawsze mówię poważnie – oznajmił albinos.

Mimo nonszalanckiego tonu Bożydar czuł ukłucie zimna pełnące wzdłuż kręgosłupa, jakby właśnie ktoś pociągnął po jego plecach lodowatym szponem. Starosłowiański grobowiec, sarkofag, tajemnicza śmierć, nieoczekiwane trzęsienie ziemi. Brzmiało to zbyt znajomo jak na jego gust.

– Czy spadające szkło nie powinno zostawić pionowego cięcia? – zapytał z udawaną obojętnością. – Jak można poderżnąć gardło pionowo?

– Może klęczał nad tą kryptą, usłyszał odgłos pękającego szkła, spojrzał w górę i ciach! Gotowe – wyjaśnił z entuzjazmem Grodzki. – Konieczny wspominał, że w samej krypcie było sporo krwi, ale jej ślady nie pasują do położenia zwłok.

– Masz zadatki na kryminalnego, Grodzki – Bożydar bardzo starał się, by zabrzmiało to jak komplement. – A skąd wiadomo, że to starosłowiańska krypta?

– Nasz technik uczy się języków, takie ma hobby. Mówił, że wieko sarkofagu pokryte było modlitwami w średniowiecznej łacinie, a na bokach były jakieś runy – rzucił beztrosko Sawicki. – Jak się wyraził, „diabelskie znaki”.

Bożydar był pełen coraz gorszych przeczuć, ale sceptycznie przymrużył jedno ze swoich różowych oczu.

– I niby zwykły technik potrafi odróżnić średniowieczną łacinę od współczesnej? A może była to łacina klasyczna z czasów rzymskich?

– Ja tam nie wiem – wzruszył ramionami posterunkowy. – Ale Konieczny wspominał, że jak pokazał zdjęcie znajomemu archeologowi, żeby zweryfiko-

wać słowa Tarasewicza, ten aż się spocił z wrażenia. Jak tylko skończymy badanie miejsca, archeolodzy wjadą tam na pełnej piżdzie.

– Raczej będą ostrożnie stawiać stópki, żeby nie nadepnąć jakiejs skorupki – parsknął pogardliwie Sawicki, dopijając kawę. – Dobra, Michał, lecimy na ten patrol. Spokojnego wieczoru, panie podkomisarzu.

– Znaleźli jakąś mumię w tej krypcie? – zawołał Rakowski za odchodzącymi młokosami.

– Niczego oprócz pustego sarkofagu, srebrnego łańcucha i jakiegoś szpikulca. Pewnie pochowali tam Draculę – dobiegł go śmiech zza drzwi.

Bożydar spojrział w ślad za odchodzącymi policjantami z wyrazem, który mógłby zamrozić kałużę.

– Kurwa mać... – szepnął pod nosem. – Obyś nie wykrakał, gówniarzu!

Dopił kawę i przegryzł kanapkę z jajkiem i tuńczykiem, nie przejmując się ciężkim zapachem, jaki zostawiła w kuchni. Pełen złych przeczuc skierował się z powrotem do biurka, by dokończyć papierkową robotę. Telefon zadzwonił w najmniej odpowiednim momencie. Spojrział na ekran i przeklął w myślach, widząc nazwisko Kleczkowskiego.

– Nie może pan spać, inspektorze? – Rzucił do słuchawki z ledwo ukrywaną niechęcią.

– Sen z powiek spędza mi personel, a raczej jego brak – Kleczkowski był wyraźnie zmęczony. – Fala COVID-19 zmyła nasz grafik w pizdu. Nie ma komu pracować. Moje raporty są gotowe?

– Prawie – skłamał Bożydar. – Zapomniałem już, jaka to przyjemność...

– Dobra, zostaw to na razie i idź do domu. Zanim wyjdiesz, zabierz z mojego biurka teczkę oznaczoną końcówką 2547/1022 i zapoznaj się z nią. Nie ma w niej jeszcze zbyt wielu informacji, ale tutaj wchodzisz ty, cały na biało. Przeczytaj, prześpij się i jak odpoczniesz po nocy, pakuj się w samochód i jedź do Sobótki. Przejmujesz sprawę.

Rakowski zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

– Szefie, pamięta pan, że jestem albinosem, prawda? Ja nie pracuję w dzień. Zresztą tym zajmuje się Konieczny, prawda?

– Powiedz to tym z Wuhan – warknął Kleczkowski. – Komisarz Konieczny dzwonił przed chwilą, że złapał COVID. Tak jak osiemdziesiąt procent tego pierdolonego posterunku łącznie ze mną. Mamy takie braki kadrowe, że musimy latać czarne spodnie białym prześcieradłem. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Oczywiście, inspektorze. W rasistowski sposób szydzi pan z mojej ułomności genetycznej, próbując to nieudolnie zamaskować.

– Dokładnie tak. Kurwa, lubię cię, Królik. Ty naprawdę nie wiesz, kiedy się zamknąć i nie masz za grosz szacunku dla szarży, co?

– Zgadza się, inspektorze.

– Doskonale. Mam nadzieję, że masz krem do opalania, bo jutro twoje blade oblicze wreszcie zobaczy słońce. Zamordowano zakonnicę, która wybrała się na wycieczkę na Ślężę. Zginęła na jakimś polu pszenicy czy innego glutenu.

Bożydar zadrżał.

– Mówił pan zdaje się, że mam jechać do Sobótki?

– Jeśli chcesz wleźć na Ślężę, jedziesz do Sobótki, Królik – wyjaśnił cierpliwie Kleczkowski. – Nie wiem po co komu wspinać się pod górę żeby zaraz z niej schodzić, ale ludzie mają różne zboczenia. Jedź do domu. Przeczytaj raport. Prześpij się i jak wstaniesz, zapierdalasz do Sobótki. Jasne?

– Jasne. Jak wstanę, jadę do Sobótki.

– Dobra, oczekuję regularnych raportów.

Bożydar odsunął słuchawkę od ucha, gdy dobiegł go podniesiony głos z głośniczka:

– Królik! Żeby ci czasem do głowy nie przyszło wstać po zachodzie słońca, bo chuja zrobisz po ciemku. Rozumiemy się?

Rakowski wydał z siebie nieartykułowany pomruk i rozłączył się. Szlag, a było tak blisko.